

Pamiętnik Baska

Roman Pankiewicz



Niegdyś w Polsce istniał zwyczaj, że przedstawiający się w odpowiednim towarzystwie, musiał nie tylko podać swoje imię i nazwisko, ale również kto go „rodził”, a nawet skąd się wywodził.

Przedstawiam się więc, jestem Bask. Urodziłem się dobrze po północy 9 lutego 1956 roku. Nie w pięknym Janowie, ani we wspaniałym Michałowie, tylko w maleńkiej, dziś już historycznej stadninie Albigowa. Przy moim urodzeniu asystowali nie tylko masztalerz-stróż i koniuszy, ale także kierownik stadniny. Nic dziwnego. Moja Mama – Bałalajka była pierwszą damą w stadninie albigowskiej, a ojciec Witraz był chyba wtedy najpiękniejszym ogierem arabskim nie tylko w Polsce.

Przy tym oboje byli oczkiem w głowie kierownika i nie mógł on sobie darować, żeby nie asystować przy moim urodzeniu, chociaż nic wtedy jeszcze nie zapowiadało mojej przyszłej sławy.

Mała stadninka, to jak rodzina. Żaden osobnik nie ginie w tłumie, ale jest znany, obserwowany i kochany. Dbano więc o nas bardzo. Nie wiem, czy w którejś ówczesnej stadninie polskiej (poza Golejewkiem) otaczano źrebięta tak czułą opieką.

W stajence, w której mieściła się porodówka, znajdowało się osiem boksów. Nasze mamy po oźrebianiu się i odejściu łożyska, były zamywane i przeprowadzane do boksu znajdującego się na przeciw. My, maluchy, dzieci Witraża, zaraz po urodzeniu wstawaliśmy jeszcze na chwiejących się nóżkach, no i oczywiście zabierali nas do ssania mam. Po śniadaniu, jeśli tylko byliśmy zdrowi, przeprowadzano nas do stajni i boksu, w którym poprzednio stała mama. Jeśli jednak trochę niedomgaliśmy, pozostawaliśmy w porodówce. Wychodzono z założenia, że do stajni, gdzie znajdowała się nas większa liczba, powinniśmy przejść zdrowi.

W porodówce z obu boksów wyrzucano obornik, robiono dezynfekcję i szykowano je dla następnej położnicy. W Albigojowej bardzo dbano o czystość. Dwa razy w roku: po wyjściu na pastwiska i po powrocie z pastwisk (po wyrzuceniu obornika) dezynfekowano boksy 2% roztworem sody kaustycznej. Może dlatego nie chorowaliśmy nigdy na płucą. Już na drugi dzień po urodzeniu, mieliśmy obowiązek wychodzić z mamą do wodopoju, a po kilku dniach już wyruszaliśmy na spacer. Masztalerz wówczas prowadził mamę, a my brykaliśmy dookoła. Gdy nauczyliśmy się pilnować mamy, po południu wypuszczano nas na coraz to dłuższy spacer. Starano się też, abyśmy rośli jak na drożdżach. W boksie były dwa żłoby. Do jednego z nich sypano obrok dla naszej mamy. Gdy zauważono, że już się interesujemy jedzeniem owsa, na pół godziny przed obrokiem, mamę wiązano do drugiego żłobu, a nam sypa- no odrobinę owsa do tego, z którego poprzednio jedliśmy razem z mamą. Z przyzwyczajenia zawsze tam coś sobie pojedliśmy. Następnie obrok sypano mamie i my szliśmy do jej żłobu, aby wraz z nią znowu trochę pojeść. Później puszczano z uwięzi mamę, która z naszego żłobu wyjadała to co pozostało tam. Stwarzało to przerwy między posiłkami, co wzmagało nasze apetyty.

Bardzo też uważano, żebyśmy nie mieli niszczących organizm biegunek, występujących wtedy, kiedy nasze mamy chciały iść na randkę. Dostawaliśmy wtedy surowe jajka, które musieliśmy jeść wraz ze skorupkami, biegunki prze- chodziły prawie niepostrzeżenie. W tym czasie smarowano nam pupy olejkami, aby luźny kał spływał, nie uszkadzając włosów. Jeden z przyjaciół kierownika delektował się kiedyś widokiem naszych mam, chodzących po okólniku, wraz ze swoimi pociechami. Patrzył, patrzył, wreszcie zdziwiony zapytał: „czemu źrebięta nie mają oblażonych pup”? Tak się wtedy z tego śmiałem, że nie wiem nawet, co mu nasz kierownik odpowiedział. Mała rzecz, a jednak świadczyła o dobrej opiece, którą nas otaczano. Ponieważ woda w Albigojowej zawierała mało jodu, smarowano nam języczki jodyną, zrobioną specjalnie na czystym spirytusie. Niezbyt to było smaczne, ale maluchy ludzi musiały pić tran, więc nie buntowaliśmy się, uważając że taka jest nasza, czyli – dzieci dola.

W Albigojowej, w sierpniu by wał y takie susze, że na pastwiskach przestawała rosnąć trawa. Ale my – maluchy, mieliśmy zawsze przygotowane na ten okres pastwisko. W wieku 5,5 – 6,5 miesiąca zabierano nas od mam, aby mogły się one przygotować do urodzenia naszego rodzeństwa. Przy „odsadzaniu” bardziej niż wiekiem, sugerowano się naszym wyglądem. Musieliśmy zupełnie zgubić zimowy włos i być w odpowiednio dobrej kondycji. Stawiano nas wówczas po troje do dużych boksów w porodówce, w którym były po trzy żłoby, dla każdego z nas. Po paru dniach wychodziliśmy na spacer, a później na pastwisko. Owsa otrzymywaliśmy tyle, ile chcieliśmy zjeść, zawsze jednak o jedno ziarenko mniej niż byśmy zmieścili. Tak że zawsze mieliśmy apetyt, witając niosącego paszę masztalerza – donośnym rżeniem. Gdy jesienią 2,5 latki odchodziły na tor wyścigowy, przechodziliśmy do bieżalni po nich. Z tym, że początkowo gromadzono nas według wieku. Według płci rozmieszczano bliżej wiosny, dopiero wtedy, gdy słońce zaczynało w nas, szczególnie ogierkach, rozbudzać „wolę bożą”.

W wieku dwóch miesięcy otrzymywaliśmy kantarki, za które opiekujący się nami masztalerze w wolnych chwilach oprowadzali nas po korytarzach. Dzieci Witraża były często obdarzone ogromnym temperamentem, który potrafił sprawiać opiekunom spory kłopot. Dlatego tak ważne było „obłaskawienie” nas już w najmłodszym wieku.

Rośliśmy więc jak na drożdżach. Kiedyś jesienią przyjechał incognito do Albigowej wiceminister rolnictwa, który przyszedł do nas, odsadków pasących się najbliższej stajni. Pan minister zapytał pilnującego nas masztalerza: „to roczniaki?”, a gdy otrzymał odpowiedź: „nie, to odsadki”, niechętnie temu wierzyć. Ponoć Miczuryn mawiał „futer macht die rasen”. A był to wielki uczonec. Albigowa miała bardzo dobrego kowala, który regularnie rozczyścił nam kopytka. Obowiązywał wówczas dziewięciogodzinny dzień pracy. Obowiązywał on u nas tylko w miesiącach: IX, X, III, IV. W miesiącach: XI, XII, I, II praca w stadninie trwała 8 godzin, a zaoszczędzoną godzinę wykorzystywano w miesiącach: V, VI, VII, VIII, kiedy to pracowano 10 godzin dziennie, abyśmy mogli być jak najdłużej na pastwiskach.



Dbano też, żebyśmy mieli dużo ruchu. Były specjalne bieżnie, na których w okresie, gdy nie przebywaliśmy na pastwisku, musieliśmy maszerować po półtorej godziny rano i po południu. Ponoć stęp jest bratem galopu. Na pastwiska prowadziła droga przez bieżnię, którą pokonywaliśmy w pełnym galopie. Głina albigowska latem zamieniała się w beton, na którym nasze ścięgna ratowały się wysmienicie. W stadninach panował wówczas zwyczaj, że dwa razy w roku odbywał się komisyjny przegląd w ręku wszystkich koni. Eliminowano wówczas z hodowli osobniki najslabsze fizycznie oraz posiadające rażące wady budowy. A także odbiegające urodą od pozostałych.

Jako źrebię byłem doskonale zharmonizowany, ale z wiekiem, jako podrostek stałem się wysokonożny. Jednak moja prze- piękna głowa, osadzona na długiej, łabędziej szyi oraz doskonale pochodzenie, broniły mnie od eliminacji z hodowli.

Dwa i pół roku minęło, jak z bicia strzelił. Trzeba było jechać na tor wyścigowy, aby odbyć próbę dzielności. Przebywałem tam aż cztery lata. W tym czasie wziąłem udział w 40 gonitwach, z których wygrałem 8, siedem razy byłem drugi i siedem razy byłem trzeci. Starłem się nie jeść darmo chleba. Byłem przy tym grzeczny i dobrze wychowany. Także na treningach, wtedy jeździł na mnie znany jeździec Zenon Lipowicz (startował nawet w Pardubicach), co z przyjemnością wspominał:

„Jazda na Basku była przyjemnym relaksem. Był koniem posłusznym, szybko reagującym na żądanie jeźdźcy, odważnym i niełatwym do wyprowadzenia z równowagi. Ponadto miał wspaniałą akcję w galopie, którą cechowała miękkość i sprężystość araba oraz posuwisty i długi krok konia pełnej krwi. Ustawiony na odpowiednią szybkość potrafił pokonać cały dystans treningu, w tym samym tempie galopa, nie ciągnąc i nie wymagając pobudzania” – Zenon Lipowicz.

Na torze jednak nie można było biegać bez końca. Trzeba było wracać do domu. Tylko gdzie był ten dom? Z Albigowej konie w międzyczasie przeszły do Janowa. Musiałem i ja tam się udać. Miałem bardzo piękną szyję, ale byłem nadal nieco wysokonożny. Przy tym koń arabski po czterech latach wyścigów wyglądał raczej jak chart, niż koń w kondycji stadnej. Nie chciano więc mnie użyć do hodowli. A co się robi z ogierami, których się nie używa w hodowli? Wiadomo – kastruje. Jednak w życiu wiele zależy od szczęścia. Zanim więc mnie wykastrowano, przyjechał jesienią 1962 roku do Janowa pan La Croix, który kupił wtedy całą grupę koni wraz ze mną. I tak w lutym 1963 roku popłynąłem do USA pod opieką nie byle kogo, bo samego Dyrektora Stadniny Koni w Michałowie inż. Ignacego Jaworskiego. Podróżowałem w znakomitym towarzystwie, bo z Naborem i Bajramem. Pogoda była straszna, sztormowa. Konie chorowały na kolkę i gdyby nie troskliwa i fachowa opieka Dyrektora I. Jaworskiego, niewielu nas dopłynęłoby żywych.

W USA, po doprowadzeniu mnie po wyścigach i po męczącej podróży, do odpowiedniej kondycji – spodobałem się Amerykanom. Mówiono o mnie: „Jest to inny koń”. No i zaczęto mnie prezentować na pokazach. W USA spotkałem znowu pana Lipowicza, który mnie opisał: „Bask z dumnie uniesioną, osadzoną na długiej szyi, piękną głową, z ogromnym, wyrazistym, pełnym ognia okiem, wysoko uniesionym proporcem ogona, sprężystym krokiem, prawie nie dotykając ziemi poruszał się na ringu. Wzbudzał okrzyki podziwu i zachwytu widzów. Kiedy zatrzymywał się i zastygał w bezruchu, sprawiał wrażenie posągu króla zwierząt”.

No i posypały się nagrody:

W 1964 roku tytuł Narodowego Championa USA, pokazywany w ręku, w 1965 roku tytuł Championa USA w klasie Park Horse, a w 1967 roku tytuły Reserve Champion Formal Driving i Reserve Champion Formal Combination.

Przy tym musiałem jeszcze wykonywać obowiązki reproduktorskie. Powodzenie miałem ogromne. Przywożono do mnie najpiękniejsze „dziewczyny” z całych Stanów Zjednoczonych. Nie mogłem się „wyrobić”, zastosowano więc inseminację. Ponieważ moje potomstwo zaczęło również zdobywać Championaty, każda stadnina w USA chciała mieć przynajmniej jednego żrebaka po mnie. Stanówka moja wzrosła z początkowych 100 dolarów do 10 000 dolarów. W USA pozostało moich 1045 potomków. Zdobyli oni na różnych pokazach 495 Championatów, a 197 razy otrzymali tytuły Narodowego Championa w bardzo różnych konkurencjach. Na tym jeszcze nie koniec, bo kolejne pokolenie dało 293 zdobywców Championatów Narodowych (prawdopodobnie z czasem liczby te znacznie się jeszcze zwiększyły).

Potomstwo moje odznaczało się nie tylko na pokazach w ręku, ale również w klasach użytkowych, wybijając się wspaniałym ruchem i charakterem. Ponieważ moje potomstwo jest tak znane, nie będę już go wymieniał. Dodam tylko że w dużej mierze moją zasługą jest powstanie określenia „pure polish”, które przez długi czas na świecie było synonimem najwyższej jakości.

W pewnym okresie byłem najstynniejszym ogierem arabskim, a Lasma stała się najstynniejszą stadniną koni czystej krwi.

No i żyłem sobie spokojnie, rewanżując się jak tylko mogłem panu La Croix za wylansowanie, a przede wszystkim za to, że we mnie uwierzył i kupił. Wszystko jednak co dobre, ma swój koniec. No i dnia 24 VI 1979 roku zakończyłem swoje pracowite życie. Nie doczekałem 25 lat, kiedy to mój kierownik miał przyjechać na mój jubileusz. Pochowano mnie na padoku, na którym zakończyłem swój żywot.

Znany i ceniony artysta Edwin Bogucki wykonał z brązu mój przepiękny posąg, który od 27 VI 1997 stoi w sali przed wejściem do Kentucky Horse Park. Posąg ten tak opisał Z. Lipowicz: „Pełen ekspresji zrywającego się do lotu, ze spojrzeniem orła Bask – przed tymi, którzy go widzieli staje jak żywy, dla tych, którzy go nie widzieli, wraca do życia powtórnie”.

Kopia tego wspaniałego posągu znajduje się w Janowie i można ją zobaczyć podczas każdej aukcji. Pojedźcie tam...

